Na ostatnią część relacji wierni czytelnicy musieli trochę zaczekać, za co przepraszam, ale mam co nieco na swoje usprawiedliwienie… zacznę od początku, czyli przyjazdu do Delhi. Była noc, choć okolice dworca i Paharganju żyły jak za dnia. Nam, po dwóch godzinach jazdy pociągiem z wypasem, czyli kolacją (+ LODY) nie pozostało nic innego jak tylko narzucić kolejny raz plecaki na ramiona i ruszyć w stronę hotelu Relax, w którym od lat zatrzymują się kolejne wyprawy i czują swojsko jak w domu. W pokojach byliśmy naprawdę późno i ze świadomością, że śpimy krótko, bo o 7.00 musimy ruszyć siedzenia, by o 8.15 być w polskiej ambasadzie. Aby załatwić zastępczy paszport dla chłopaka, który rzeczony dokument swego czasu utracił nie wiadomo w jakich okolicznościach. W ambasadzie byliśmy na czas, gospodarze zaproponowali nam kawę, herbatę i ciasteczka. Kiedy my rozkoszowaliśmy się klimą i poczęstunkiem, K. dostał nowy dokument. Polscy dyplomaci cierpliwie i z wielką serdecznością opowiedzieli też o tym, na czym polega ich praca (a młodzi pytali o wszytko, łącznie z tym w jakiej walucie pracownicy ambasady będą otrzymywać emeryturę) i jak postrzegają życie w Indiach. Pod koniec spotkania, trwającego do około południa, dowiedzieliśmy się, że oprócz nowego paszportu K. powinien mieć jeszcze exit permit, tj.zgodę na opuszczenie Indii wydaną przez specjalny urząd. Pojechaliśmy oczywiście od razu załatwić wymaganą zgodę, ale okazało się to nie takie łatwe jak założyliśmy i w kolejnych dniach do wylotu przyspożyło nam niemało stresów. Bo tego dokumentu nie można było załatwić od ręki. Najpierw trzeba było złożyć wniosek online, który musiał przejść weryfikację drogą internetową, by w końcu EWENTUALNIE zatwierdził go jakiś konkretny urzędnik. Ale samo złożenie wniosku przez stronę w sieci nie było łatwe, a czas uciekał. Było piątkowe popołudnie nic, wieczór… dalej nic i dopiero jakoś przed północą w kawiarence internetowej udało się Kumarowi i coraz bardziej zdenerwowanemu K. przejść wszystkie „bramki". Dodam, że tego pierwszego dnia w stolicy zdążyliśmy jeszcze pojechać do Mauzoleum Humajuna i zwiedzić Qutab Minar. Było upalnie, wesoło i gwarnie, bo wszędzie spotykaliśmy mnóstwo dzieciaków z miejscowych szkół. Tymczasem nasze, kadry, napięcie rosło. Wiedzieliśmy, że wspomniany urząd nie pracuje w weekend, w poniedziałek jest czynny tylko do 15.30, a my nocą z poniedziałku na wtorek mieliśmy wyjeżdżać na lotnisko, bo o 6tej nasz samolot wylatywał do Istambułu. W kolejnych dniach napięcie rosło. Rozpatrywaliśmy różne opcje, łącznie z tą, że Kumar zostaje z K. dłużej w Indiach. W sobotę byliśmy w Indira Ghandi Memorial, w miejscu tragicznej śmierci Ghandiego i jego kremacji. Pojechaliśmy także do Meczetu Piątkowego, szpitala dla ptaków przy świątyni dżinijskiej i na obiadokolację do restauracji Moti Mahal, w której bywały i bywają gwiazd, np. Gordon Ramsey. Nie obyło się bez przygód, bo po pierwsze pisząca tę relację kronikarka, pchnięta przez tubylcami, efektownie wysypała się pod Meczetem Piątkowym, zdzierając kolana do krwi jak przeciętny przedszkolak na placu zabaw, po drugie K. od paszportu zaliczył udar, po trzecie Szot zwany Bąbelkiem zgubił grupę, a szukając jej polazł w przeciwną stronę… no i po czwarte, czekając na Szota oglądaliśmy co na kramach mają do zaoferowania miejscowi. Naukę rozległ się wrzask, w grupie zakotłowało się i wypadł z spośród naszych wyprawowiczów jakiś Indus okładany pięściami najpierw przez naszą kruchą, niziutką Majeczkę, a potem przez rodaków. Okazało się, że typ próbował okraść Maję i zakosić jej z kieszeni telefon. Miał „biedak" pecha, bo dziewczyna złapała złodzieja za rękę i klnąc jak młody szewc, strzeliła mu z liścia w twarz. A potem pomogli jej już Indusi. Chłopina chyba dziwi się do tej pory, wspominając tamto zdarzenie. W niedzielę byliśmy w centrum politycznym, widzieliśmy siedzibę prezydenta, parlamentu, poszliśmy pod India Gate, a po południu do kina na film Dream Girl 2. Wyjście do kina w Indiach dla takich jak my, czyli

obcokrajowcy, to zawsze duże przeżycie. Filmy są zwykle dłuższe niż w naszych kinach, zaś Indusi żywo reagują na to, co widzą na ekranie – klaszczą, komentują, pokrzykują… Film, który wybraliśmy to była komedia w hindi, ale zrozumieliśmy o co chodzi (przebieranka chłopa w babę jak w „Pół żartem, pół serio"), więc bawiliśmy się przednio. Kumar spał z kubłem popcornu w garści. W poniedziałek nie mieliśmy już w planach nic poza pakowaniem się, robieniem ostatnich zakupów i kolacją, która zwyczajowo kończy wyprawę. Spokój tego dnia niestety burzył brak zgody na wyjazd K. z Indii. Dyrektor stawał na głowie, żeby chłopak mógł wyjechać – był w stałym kontakcie telefonicznym z ambasadą Polski w Indiach, rano pojechał do właściwego urzędu, od którego zależało wydanie potrzebnego permitu wyjazdowego, potem znowu pojechał z K. i Grace, by przekonać urzędników do wydania dokumentu. Ja miałam pod nadzorem resztę coraz bardziej zdenerwowanej sytuacją ekipy. Czas uciekał… po 18tej wyruszyliśmy rikszami do Bercosa na kolację i jakoś wtedy dopiero, ok19tej w skrzynce mailowej K. pojawił długo oczekiwany dokument. Odetchnęliśmy z ulgą.

Ale z drugiej strony, wyprawa bez przygód byłaby nudna… więc DO NASTĘPNEJ!